



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinniey. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½ *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt. *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½ w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr. **Biuro Redakcyi:** Ulca Mazowiecka Nr. 8.

Treść.—Ciepło i zimno, przez M. J. Z.—Na odlot ptaków, (wierszyk), przez Janinę-Feliksę.—Wynalazek muzyki, przez Paulinę Krakowową.—Młoda bohaterka, opowiadanie prawdziwe, (z drzeworytem).—Medalik z roku 1768. Powieść przez Z. Morawską.—Wzór do rysunku, (drzeworyt).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Rozmaitości.—Łamigłównki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od redakcyi.—W dodatku Pamiętnik wujaszka (powieść).

CIEPŁO I ZIMNO.



ak zimno, ach, tak dziś zimno — mówiła Helenka — jak pomyśle, że są takie kraje szczęśliwe, gdzie lato trwa przez rok cały, a zimy niema wcale...

— Dajże pokój — odrzekł Kazio — tam znów gorąco musi okropnie dokuczać; już

ja wolę mieszkać w naszym umiarkowanym klimacie.

— Dobrze mi umiarkowany, aż mi ręce skostniały; a to dopiero jesień, cóż będzie zimą, jak mrozy wezmą, jak powieje to straszne, lodowate powietrze! Wiesz, Kaziu, ja sobie zawsze wyobrażam, że tam gdzieś na świecie, nie wiem już gdzie, muszą być dwie śpiżarenki, z jednej ciepło wychodzi przez jakiś kranik, a z drugiej zimno. Otóż jeżeli

który z tych kraników zanadto się odkręci...

— Ach, zabawny pomysł! tak zupełnie, jak w kąpieli. Tylko widzisz, Helenko, ciepło wiadomo, że pochodzi od słońca, to są promienie słoneczne, nic innego, a zimno... no, zimno, to już sam nie wiem, co to jest takiego.

— To prawda — dodała Helenka — co to takiego być może? O ciepłe czytałam kiedyś w *Wieczorach Rodzinnych*, ale o zimnie nie pamiętam, czy tam co było.

— Bardzo łatwo to zrozumieć możecie — odezwał się ojciec — zimno nie jest wcale odrębną jakąś siłą, tylko po prostu brakiem ciepła, albo, mówiąc właściwiej, małą ilością ciepła, bo na całej ziemi nie znajdziemy ciała tak zimnego, ażeby nie mogło być jeszcze więcej oziębione; stąd wnosimy, że żadne nie jest całkowicie pozbawione ciepła. Chcąc jaką rzecz ogrzać, dodajemy do niej ciepła, chcąc ją oziębic, musimy jej część ciepła odjąć, wszyscy o tém wiemy.

— O, i ja to wiem dobrze — rzekła Helenka — tylko że łatwiej daleko zimą jakąś rzecz ogrzać przy ogniu, aniżeli latem oziębic; bo jakże tu odjąć ciepła, kiedy ze wszystkich

stron parzy? Na to już niema sposobu. Gorącą wodę mamy przez całą zimę, ale niechże kto będzie mądry i zrobi lód latem.

— Bardzo się mylisz, moja córeczko, lód można zrobić wśród lata, są do tego dowcipne przyrządy; powiem ci nawet, że można wodę zamrozić w naczyniu ogrzanem na ogniu do czerwoności.

— Co! lód na ogniu? a to dopiero czarodziejska sztuka—zawołał Kazio—niechże ojczulek kochany opowie nam, jak to się robi.

— Nigdy w życiu o tém nie słyszałam—mówiła Helenka, składając rączki w najwyższem podziwieniu—żeby można było lód zrobić bez mrozu; ale lód w gorącym naczyniu, to już wszelkie pojęcie przechodzi.

— Radbym bardzo wytłómaczyć wam całą tę sprawę w taki sposób, aby nie przeszła waszego pojęcia. Wprzód jednak muszę wam przypomnieć, co to jest trojake skupienie ciał, chociaż nieraz już mówiliśmy o tém. Najlepszy i najprostszy przykład tego prawa przyrody przedstawia nam woda w rozmaitych swych postaciach. Lód, woda skrzepła, znajduje się w stanie stałym, woda zwyczajna wśród lata w stanie ciekłym, a para wodna, niewidzialna w powietrzu, w stanie lotnym czyli gazowym. Wszystkie ciała na świecie mogą się tak samo przemieniać ze stanu stałego w ciekły, a z ciekłego w lotny i na odwrót.

— Wszystkie, ojczulku, więc i żelazo i drzewo?

— Żelazo z największą łatwością topi się i ulatnia, w skutek silnego ogrzania, drzewo zaś nie może tu służyć za przykład, gdyż ono jest złożone z rozmaitych ciał, a przy ogrzaniu nie topi się, lecz rozdziela na składowe części. Ja mówię o ciałach, których skład jest jednorodny, a z tych każde bez wyjątku, jeśli jest twarde, może się roztopić i ulotnić, a jeśli jest płynne, to jest ciekłe lub gazowe, może skrzepnąć w twardą bryłę.

— Przecież ojciec nie powie—odezwał się Kazio—ażeby gaz, takie nikłe, niewidzialne jakieś powietrze, mogło się przemienić w bryłę kamienia.

— Nie byłaby to zapewne bryła zwyczaj-

nego kamienia, tylko bryła zastygłego powietrza. Otóż powiem wam właśnie, chociaż się tego nie spodziewacie, że udało się ludziom parę lat temu nawet i to nikłe, przezroczyste powietrze za pomocą wielkiego oziębienia i ciśnienia zamrozić tak samo, jak wodę. Nie wyobrażajcie sobie, że otrzymano wielkie bryły twardego powietrza i że je można było przechowywać, ale zawsze widziano małe skrzepłe kawałeczki powietrza, które w jednej chwili znów się ulatniały.

— Mój Boże, jakieżto dziwne rzeczy dzieją się na świecie—mówiła Helenka—teraz już sama nie wiem, czego więcej jestem ciekawa, czy tego lodu, co się latem robi, a do tego w gorącym naczyniu, czy też twardego, lodowatego powietrza.

— Jeżeli chcecie to wszystko zrozumieć, musicie wprzód posłuchać niektórych naukowych wiadomości, a najpierw spróbuję dać wam niejaki wyobrażenie o tém, jakim sposobem uczeni tłómaczą tę trojaką przemianę ciał. Powiadają więc, że wszystkie ciała na świecie złożone są z niezliczonej ilości cząsteczek drobnych, niedojrzanych, spójnych z sobą szczelnie w twardych ciałach, mniej szczelnie w cieczach, a bardzo słabo w gazach i dla tego to ciecz się przelewają, a gazy rozpraszają na wszystkie strony. Nie sądzicie jednak, ażeby nawet w najtwardszym metalu cząsteczki te przytykały do siebie; o nie! są pomiędzy nimi otwory daleko obszerniejsze od nich samych i cząsteczki te, jak utrzymują ludzie uczeni, wcale nie są nieruchome, ale poruszają się, wirują, uderzają jedna o drugą i różne dziwne rzeczy wyrabiają. Według zdania uczonych, i te otwórki pomiędzy cząsteczkami nie są zupełnie próżne, lecz mają być wypełnione jakimś płynem niezmiernie nikłym, który nawet wagi żadnej niema, a ztąd przezwany jest płynem nieważkim, albo eterem. Eter ten ma być rozlany wszędzie, wypełnia wszystkie ciała na ziemi, a także i niezmiernie przestrzeżenie pomiędzy gwiazdami, gdzie już powietrza niema. Ale i eter nie jest jakąś jednolitą masą, lecz składa się także z drobnuteńkich cząsteczek, które się poruszają, drgają, może i wirują, a z tych

dziwnych ruchów wywiązują się siły, ciepło, światło i elektryczność.

— Ale, mój ojciec kochany—rzekł Kazio—zkażde ludzie o takich rzeczach wiedzieć mogą, kiedy ojciec powiada, że nikt w świecie nie może dojrzeć tych drobnusiennych cząsteczek, ani tych tańców, które one mają nibyto wyprawiać.

— Moje dzieci — odpowiedział ojciec—gdyby człowiek o tém tylko wiedział, co oczyma swojemi widzi, lub czego dotknąć może rękoma, byłoby to bardzo niewiele. Ale Pan Bóg obdarzył go rozumem, może więc pojmować i dochodzić takich rzeczy, których nigdy nie obaczy i nie dotknie, chociaż istnienie ich nie ulega żadnej wątpliwości. A teraz słuchajcie uważnie. Ile razy jakie ciało przechodzi z jednego stanu skupienia w drugi, zawsze ta przemiana odbywa się pod wpływem powiększenia lub zmniejszenia ilości ciepła. Woda jest cieczą w temperaturze zwyczajnej, gdy jęj dodamy ciepła, paruje, gdy ciepła ujmujemy, zamarza. Zawsze też przy tęg przemianie wewnętrzne ruchy cząsteczek przyspieszają się lub zwalniają, a w skutek tego przybywa lub ubywa ciepła. Objasnimy to przykładem. Gdy latem, w czasie upału, spadnie deszcz rzęsiasty, a potem ziemia zaczyna szybko wysychać, powietrze zaraz się odświeża, robi się znacznie chłodniej na dworze. Wieceż dla czego? Oto, gdy woda deszczowa się ulatnia, paruje, znaczna ilość ciepła ubywa w powietrzu, tak zupełnie, jakgdyby ta para je pochłaniała. Można sobie to wytłómaczyć w ten sposób, że ruch cząsteczek, to jest siła stanowiąca w wodzie ciepło, przemienia się w tęg chwili w ruch inny, inną siłę, która te cząsteczki rozpycha na wszystkie strony. Później kiedyś lepiej to zrozumiecie, na teraz dosyć z was jeśli wiedzieć będziecie, że szybka, gwałtowna przemiana niektórych ciał ze stanu stałego w ciekły, a zwłaszcza z ciekłego w lotny, może pochłónać ogromną ilość ciepła i nadzwyczajne zimno sprowadzić. Jest naprzykład pewna ciecz, zwana eterem, którą wam kiedyś pokażę.

— Eter!—przerwała Helenka—a toż ojczulek mówił dopiéro co, że nikt w świe-

cie tego eteru nie może obaczyć, bo jest niewidzialny i nawet wagi żadnej niema.

— Eter, o którym teraz mówię, nie jest wcale owym płynem nieujętym i nieważkim, chociaż się tak samo nazywa. Jest to ciecz z mocnym orzeźwiającym zapachem, którą zwykle dają wachać, jeżeli się komuś słabo zrobi. Ale flaszczkę z eterem starannie trzeba zatykać, bo ciecz natychmiast się ulotni, a przy tęg ulatnianiu wywiązuje się nadzwyczajny chłód. Sprobujcie kiedy nalać na rękę parę kropelek eteru, a takiego doznacie wrażenia, jakgdybyście ją przytknęli do lodu. Otóż wyobraźcie sobie naczynie z wodą, zanurzone w drugiem naczyniu, zawierającém znaczną ilość podobnego eteru. W chwili gdy ta ciecz gwałtownie się będzie ulatniać, takie się ztąd zimno wywiąże, iż woda w naczyniu zamarznie. Takim to sposobem można latem lód sztuczny otrzymać; są do tego dowcipne przyrządy, w których eter kolejno się ulatnia i znów potem skrapla, azeby mógł drugi raz do tegoż samego użytku służyć. Ale woda może się oziębić, a nawet i zamarznąć przez własne parowanie. W Bengalu, gdzie, jak wiecie, bardzo jest gorąco, robią lód bez żadnych przyrządów i bez eteru, wystawiając w nocy płaskie naczynia z wodą na powietrze, w takięj porze, kiedy jest piękna pogoda i sucho. Woda szybko się ulatnia, a część pozostała w naczyniu tak się w skutek tego oziębia, że powstaje na spodzie cienka warstewka lodu. Na wschodzie trzymają zwykle wodę w naczyniach z gliny dziurkowatęj, jak gąbka. Woda wylać się z nich nie może, ale się powoli przesącza przez drobne otworki, w skutek tego paruje ciągle na zewnętrznej stronie naczynia, a wewnątrz tymczasem wywiązuje się ztąd zimno i woda nie zgrzewa się zbytecznie, zawsze jest świeża i chłodna.

— Ale jeszcze ojciec nie powiedział—mówiła Helenka—jakim sposobem woda marnie w gorącém naczyniu, stojącém na ogniu.

— Zupełnie tym samym sposobem, przez gwałtowne ulatnianie eteru, lub innęj cieczy podobnej, którą się wlewa najprzód w owe

rozpalone do czerwoności naczynie. Woda, wlana następnie w ten eter, w jednej chwili zamienia się w bryłkę lodu. Jakże to wytlómaczysz, Kaziu?

— O, ja to już teraz rozumiem. Częsteczki eteru okropnym pędem rozpierzchają się w powietrzu, a takiej siły potrzebują na to, że zabierają ciepło, jakie tylko pochwytać mogą, ażeby je popychało na wszystkie strony. Więc i woda musi swoje oddać, a sama zamarza.

— Nie zapomnij, że ciepło przemienia się w ruch odmienny, ażeby mogło rozpychać cząsteczki eteru i dla tego niknie jako ciepło, a występuje natomiast, jako siła popychająca. Ale można na odwrót każdy ruch zamienić w ciepło. Spróbuj tylko dobrze potrząść ręce jedną o drugą.

— Ach, to prawda—zawołała Helenka— a dżicy ludzie rozpalają ogień, pocierając mocno dwa kawałki drzewa. Jakież to wszystko dziwne. A teraz, niech ojciec powie jeszcze, jakim sposobem powietrze można zamrozić; czy także tym eterem?

— Tu już nie wystarczały zwyczajne sposoby, bo na zamrożenie powietrza potrzeba nadzwyczajnego zimna i ciśnienia zarazem. Najpierw więc w przyrządzie, przeznaczonym do tego, tłoczą je z wielką siłą, potem oziębiają, zawsze tym samym, ulatniającym się eterem, a nakoniec nagle zmniejszają ciśnienie; powietrze oswobodzone zaczyna się gwałtownie rozprężać, a ztąd tak niesłychanie zimno powstaje, że część skrapla się, nakształt wody, a nawet krzepnie, jak lód lub śnieg. Wiecie zapewne, że powietrze składa się z różnych gazów, głównie zaś z tlenu i azotu. Każdy z nich skraplany był i zamrażany osobno, ale i mieszanina powietrza także tak samo dała się zamrozić; pojmujecie, że wszystko to w jednej chwili rozpuszcza się i ulatnia, bo niema takiego zimna, w którymby się mogło dłużej utrzymać.

— Ba, zawsze jednak warto choć na jedną chwilkę taki osobliwy lód zrobić—mówiła Helenka.—Mnóstwo ciekawych rzeczy dowiedzieliśmy się dzisiaj; teraz przynajmniej będę wiedziała, że zimno to nie jest, tylko brak ciepła. Zimą widocznie słońce za mało nam tego ciepła przysyła. A dla

czego? Może i to ojciec kiedyś nam objaśni.

— Zapewne, ale nie dziś, bo i tak już troszkę zadługo przeciągnęła się nasza rozmowa.

M. J. Z.

Na odlot ptaków.

Hej! gdzie los was zanieś,
Zbiegi nasze zimowe!

W jakim gaju, czy lesie
Przyjdzie złożyć wam głowę?

W cudzym kraju, daleko,
Między ludźmi obcymi,
Za dziesiątą gdzieś rzeką...
Zdała drogięj wam ziemił...

O! zostańcie, ptaszkwie!

Choć tak zimno w tój porze...

Tu są bracia, ziomkowie...

Pocóż lecieć za morze?

Ach! tam sroga tęsknica

Prędko sercem zawładnie,

Bo to cudza ziemia,

Choć w nięj ciepło i ładnie!...

O! zostańcie! tu z wami

Chleb złamiemy z ochotą...

Tam, nakarmię was łzami,

I serdeczną tęsknotą!...

Tu wasz świegot tak cieszy,

Tak do głębi przejmuje,

Tam, wśród obcej wam rzeszy,

Któż się wami raduje?

O! zostańcie!... Napróžno...

Odlceiały gdzieś dalej...

Za gromadką podróżną,

Tęsknią ci, co zostali.

Janina-Feliksa.

WYNAŁAZEK MUZYKI.

Już się słońce za ciemne obłoki ukryło;
już nocne cienie zaczęły powłóczyć ziemię;
i wszystko, od człowieka, tego dumnego pana przyrodzenia, aż do niezmordowanej

mrówki, udało się na spoczynek; jeden tylko starzec siedzi nad brzegiem wody, z schyłym czołem, z skurczonymi członkami, które coraz gwałtownie przejmują drżenie; siedzi i z największą pilnością przysłuchuje się szmerowi, który rosnące nad brzegiem rzeki i wiatrem kołysane sitowie wydaje.

Im silniej wiatr powiewa, im głośniej świszcze w trzcinie, tym mniej drży nieszczęśliwy. Zwolna, ociężała jego głowa skłania się na piersi, powieki się zwierają i nakoniec lekkim snem zmorzony, przestał cierpieć na chwilę.

Jakże mu błoga ta chwila spoczynku! Bo to był Kain!... Kain, którego serce, wieczną dręczone zgryzotą, zapomniało wszelkich tkliwych uczuć; od którego własna zbrodnia i przekleństwo Boga oddaliło wszystkich, co mu niegdyś miłymi byli; który, schylony wiekiem i cierpieniem, zbliżał się drżący do kresu życia, nie wiedząc, czy się zbliży do kresu swęj kary!

Sam na świecie, nie mogąc zostać na jednym miejscu, długo się tułał po ziemi bez pociechy i spoczynku. Nareszcie żal i zgryzota wróciły go ku stronie, gdzie się ziemia z rąk jego pierwszy raz krwią ludzką napoiła; wrócił tam, gdzie go niewinny Abel napróżno o litość błagał. I rzecz szczególna w żalonym odgłosie wiatrem kołysanej trzciny, w tym głosie, co mu ostatni jęk zamordowanego przypomina, znalazł choć chwilową ulgę, choć krótko-trwałe zawieszenie swych cierpień!

Przysłuchując się tym dźwiękom, wraca wprawdzie pamięcią do czasu swęj zbrodni; lecz to nawet wspomnienie lżejszemu mu jest od okropnej terażniejszości: bo wtedy nie dojmowała mu jeszcze zgryzota sumienia, nie czuł jeszcze ciężaru Boskiego przekleństwa. To wspomnienie, co go z razu zgrozą przejmujące, zwraca zwolna jego myśli ku szczęśliwej przeszłości, przywodzi mu na pamięć łagodność Abla i te błogie czasy, kiedy żyjąc razem, na jednym ołtarzu składali Bogu dary i jeden płomień z nieba na nie zstępował; bo wtedy jeszcze mu czarna zawiść nie szarpała serca.

I teraz pewno tak marzył: bo sen jego był

spokojny, wypogodziło się oblicze i grube łyzy spływały niekiedy z pod przymkniętych powiek. Wtém, mimo późnej pory, młodzieniec jakiś przyjemnej postaci zbliżył się do śpiącego winowajcy; usiadł przy nim i z tkliwą litością wzrok swój utopił w jego obliczu. Był to wnuk jego Jubal, jedyna istota, co się wyklętym zajmowała Kainem, której nieszczęście i zbrodnia nie zdołały od niego oddalić. On po całych dniach siedział lub chodził ze starcem, zachęcał go do posilenia się czémkolwiek, strzegł go we śnie, pocieszał słowem; widząc jego czułą troskliwość, możnaby myśleć, że sam Bóg, łagodząc surowość swego wyroku, zesłał Kainowi anioła-pocieszyciela.

Lecz gdy się młodzieniec cieszył spoczynkiem dziada, wiatr ustał, ucichł smutny świst sitowia i drżenie przebiegło członki Kaina; przebudził się, lecz nie otworzył oczu; obraz przeszłości stanął mu pewno w pamięci, bo załamując ręce zawołał z rozpaczą: „Och! jeszcze jeden raz, bracie! bo z ostatnim twoim jękiem usłyszę straszny głos sędziego... a oto... już się zbliża anioł, co na mém czole wyrze piętno odrzucenia!...“ Lecz cichość panowała dokoła, a Kain wychodząc z obłąkania, spojrzął w oko siebie i jakby chcąc wrócić do niego, rzekł żałośnie: „Jubalu, wiatrul! prosz o wiatrul!“ Jubal klęknął, modlił się gorąco, łyzy płynęły mu po licu, lecz wiatr nie powstał, bo krótkiego tylko spoczynku dozwalał Bóg nieszczęsnemu bratobójcy. Młodzieniec, wzruszony jego cierpieniem, przybliżył się, chcąc go na chwilę pieszczotami uspokoić; lecz go Kain odtrącił, mówiąc: „Precz... wiatrul!...“ I zuów drzeć poczał i rysy jego przybrały wyraz najokropniejszej rozpacz.

Jubal, zupełnie oddany nieszczęśliwemu starcowi, oddawna już przemyślał, jakimby sposobem zastąpić jękliwy szmer sitowia; próbował sam naśladować jęk konającego, sprowadzał blisko siedliska Kaina młode wielbłądy i inne zwierzęta, których żalony głos zbliża się do niego; wiódł nieszczęsnego w gaje, gdzie się spodziewał, że go miły śpiew ptaków rozerwie, lecz wszystko napróżno. Nic nie uspokajało winowajcy, wydierał się z tkliwych objęć młodzieńca,

biegł nad wodę i krył się w najgęstsze zarośla.

Nieraz strapiony Jubal z radością i podziwieniem wpatrywał się w te proste i giętkie pręty, co nad umysłem nieszczęśliwego dobroczynniejszą wywierały władzę, niż wszystkie usiłowania jego czulej i kochającej duszy i łamał je, chcąc dociec, z kąd ten miły odgłos pochodził. Raz, gdy znużony długiemi i bezskutecznemi badaniami, westchnął, oddech jego dotknął trzciny do ust zbliżonej i wpadłszy w jej wydrążenie, wydał świst lekki; zdziwiony młodzieniec dmie już umyślnie w trcinę i po kilkakrotnych próbach, udaje mu się wydobyć z niej dźwięk smutny i przeciągły.

Ach! pomyślał sobie, gdyby mój oddech mógł powiew wiatru zastąpić, jakżebym dał z całej siły mych piersi! Lecz świst ten mocy, krótki i jednostajny, dalekim był jeszcze od melancholijnego szumu sitowia nad brzegami wody. Czegoż jednakże na tej ziemi szczerą chęć i przywiązanie nie dokaże? Młodzieniec z niezmordowaną czynnością pracował nad udoskonaleniem swego odkrycia; uważał, że grubsze trzciny mocniejszy, cieńsze słabszy głos wydawały, dał w nie po kolei i zdawało mu się, że to już podobniejszym było do upragnionego brzmienia; lecz trudziło go ciągle przemienianie cieńszych i grubszych prętów, umyślił więc w jedną całość je spoić, ułamki trzciny, podług objętości, powiązał w długi rząd cienkimi gałązkami bluszczu i wtedy, przesuwając swoje fletnię koło ust, naśladował szum wiatru, od najmocniejszego powiewu do najłagodniejszego echa.

Uszczęśliwiony z tego owocu długiej pracy i namysłu, Jubal pragnął jak najspieszniej doświadczyć jego skuteczności i jakże wyrazić radość, która jego serce przejęła, gdy na rozpaczny głos Kaina, „wiatru!“ przebiegł tchem całą fletnię, a oczy nieszczęsnego nie otworzyły się jeszcze do łez, zmysły nie ocknęły się do cierpień; gdy dmąc rozmaicie w swoje narzędzie, wydobywał z niemiej trzciny smutne i przeciągłe dźwięki, a drżenie bratobójcy ustawało zwolna i dobroczynny sen sklejał na nowo jego powieki. Któż pojmie jego szczęście? kto jego radość

opisze? Ten chyba, co sam doznał, jak to słodko przynosić ulgę cierpieniu ukochanych nam osób.

Takto powstała pierwsza fletnia. Cóż dziwnego, że muzyka taką władzę na nasz umysł wywiera, że nasze serce wznosi i rozczula, że zaciera pamięć trosk i cierpień, kiedy tak tkliwe i szczytne ma źródło, kiedy ją dziecinna miłość wynalazła, na osłodę udręceń duszy i złagodzenie Boskiego przeklestwa!

Paulina Krakowowa.

MŁODA BOHATERKA.

Opowiadanie prawdziwe.

Ta, której dzieje opowiedzieć wam chcemy, była prostą angielską dziewczyną, a jednak słynniejszą się stała od wielu kobiet możliwych, uczonych, lub niepospolitemi talentami obdarzonych. Żyła zaledwie lat dwadzieścia pięć, już lat czterdzieści mija od jej śmierci, lecz pamięć jej nie przeminie prędko, a imię Gracyi Darling powtarzane jest z uszanowaniem i współczuciem, nie tylko w rodzinnej jej ziemi, lecz w całej Europie, wszędzie, gdzie poważana jest zacność i słachetność duszy, odwaga i poświęcenie. Uboża ta dziewczyna nie szukała wcale sławy, spełniała tylko w cichości obowiązki swoje w tym położeniu, w jakim ją Bóg postawił.

Jednak życie Gracyi Darling od dzieciństwa nie było zwyczajnem, choć upływało spokojnie i jednostajnie na prostej domowej pracy. Odkąd umysł dziewczynki zdolnym był przejmować trwalsze wrażenia, oko jej nie widziało nigdy ani łąk zielonych, ani pól zbożem zasianych, ani lasów, ciemniejących w oddali; nie mieszkała wśród cichej wioski, ani wśród gwaru miejskiego, nie słyszała nigdy dźwięków starych dzwonów, wzywających zarazem do modlitwy i pracy, nie miała nigdy przyjaciółek, ani towarzyszek swojego wieku. Gdy Gracya, dzieckiem jeszcze będąc, otwierała małe okienko swój izdebki, spostrzegła najprzód głęboko pod stopami swojemi siny wał skalisty, okolony pasem

zielonawo mieniącego się morza, z frendzlą piany białej. Dalej były już tylko fale morskie, morze bez końca. Podnosząc zaś wzrok w górę, widziała niebo, czasem błękitne i ozłoczone promieniami słońca, czasem znów ciemne, zasiane gwiazdami, a niżej wzrok jej padał na małą kopułkę, sterczącą wysoko ponad morskimi falami, na ogromną szklaną latarnię, która wśród ciemności błyszczała, jakby jedna z gwiazdek niebieskich zstąpiła na ziemię, aby się stać hasłem, przestrzegającym ludzi o niebezpieczeństwie i wybawiać ich od śmierci, wskazując ostre krawędzie skał nadbrzeżnych i oświetlając straszne tajemnice morskich przepaści. Zewsząd otaczała Gracyą niezmierna przestrzeń przezroczysta, powietrze szare, bezbarwne, po którym szybowwały wielkie ptaki morskie, poruszając obszernymi skrzydłami; często widnokrąg zakryty był ciemną zasłoną chmur, które rozplywając się w strumieniu deszczu, łączyły się na dole z zielonemi falami oceanu. Młoda dziewczyna miała pod stopami swojemi rozległy obszar wody, nad głową niebo, dokoła niezmierny przestwór powietrza. Gracya mieszkała w nadbrzeżnej wieży strażniczej na małej wysepce, u pogranicza Anglii i Szkocji, na morzu północnym. Była to silnie zbudowana, olbrzymia wieża, jedna z wielu, które strzegą brzegów angielskich.

Tomasz Darling, ojciec Gracyi, był niegdyś śmiałym rybakim, czynnym i zdolnym żeglarzem. Lecz w młodym wieku został kaleką podczas burzy morskiej, która go na wpół martwego wyrzuciła na skałę nadbrzeżną. Ponieważ był lubiony przez zwierzchników, więc z łatwością otrzymał posadę strażnika latarni morskiej i przebywał tam wraz z drugim towarzyszem, oddzielony od wszystkich innych istot ludzkich. Żona jego nie mogła mieszkać z nim na tej samotnej skałe, gdyż była wątłego zdrowia, a przytém miała córeczkę malutką, która wymagała wygód i troskliwości. Nieraz, trzymając na ręku małą, jasnowłosą dziewczynkę, biedna kobieta wdzierała się na szczyt nadbrzeżnej skały, a wskazując dziecku wznoszącą się wśród fal wysoką latarnię morską, mówiła:

— Przypatrz się, Gracyo, tam mieszka twój ojciec.

Gracya spoglądała z uśmiechem wesołym, bo znała i pamiętała ojca, który odwiedzał je niekiedy, a za każdą bytnością przynosił córeczce ładne kolorowe muszelki, piękne nożykiem wyrzynane zabawki, i nieraz nawet zabierał ją do swojej łódki i przewoził po morzu.

Dziecko rosło zdrowo, nabierało sił i rumieńców, ale matka z dniem każdym traciła siły, coraz słabszą się stawała. Wtedy to mała, zaledwie sześciolatnia Gracya, wspinała się sama na głązy drobnymi nożynami i czepiając się ostrych krawędzi słabemi rączkami, dostawała się na szczyty skał i przychodziła potem do matki donosząc, że wieża stoi nienaruszona na skałe, a latarnia oświeca morze. Żona strażnika umarła nakoniec pewnej burzliwej nocy, samotnie, jak żyła, nie pożegnawszy męża, błogosławiąc tylko małą swoją córeczkę. Tomasz Darling przybył dopiero na pogrzeb żony, potem zabrał osieroconą dziecinę do łodzi, i zawiózł ją z sobą na skałę, gdzie stała latarnia morska, jedyne schronienie jego na ziemi. Biedny ten człowiek nie miał ani krewnych, ani przyjaciół, którymby mógł dziecinę powierzyć.

Ale Gracya chowała się zdrowo w wieży strażnika. Powietrze morskie jest wzmacniające, a troskliwość obu strażników, Tomasz i towarzysza jego, nieustannie nad nią czuwała. Dziewczynka rosła i nabierała sił w tej samotności, nie widząc nigdy przy sobie wesołej twarzyczki dziecinniej, ani łagodnej kobiecej postaci. Wyobraźcie sobie ponurą jednostajność takiego życia, nieustanną ciszę w mieszkaniu, a na zewnątrz zawsze tenże sam widok wspaniałych fal morskich i przesuających się po niebie chmur i obłoków. Mijały czasem dni całe, a Gracya nie usłyszała głosu ludzkiego, zamknięta w małej swojej izdebce na wieży. Zwykle jeden ze strażników spał po czuwaniu nocnym, a drugi pilnował latarni. Nieustanny huk morza, rozbijającego się o skały, dzikie, przeraźliwe krzyki mew, świszczące podmuchy wiatru obijały się jedynie o uszy dziecka. Wzrok dziewczynki, bląkając się po obsza-

rach morza i nieba, nie napotykał nic takiego, na czémby się mógł zatrzymać i spocząć. Ani ogniska domowego, przy którym zwykle gromadzi się rodzina, ani kościoła, w którym się modlą ludzie, ani szkoły, gdzie dzieci uczą się i pracują. Rosła, nie widząc drzew, ogrodów, ani domów ludzkich, nic, oprócz nieba i wody. Czasem tylko na jednostajnym wód błękitcie rysowała się przed jej oczyma jakby ciemna siatka, potem zao-

ły nieustannie i wieża stała niewzruszona wśród rozhukanych żywiołów, ochraniając istoty ludzkie przed ich gwałtownością. Był to widok wspaniały i wzniosły, musiał też wielki wpływ wywierać na umysł i serce młodej dziewczynki, która uczyła się wielbić Boga w dziełach Jego potęgi i mocy.

Nie sądźcie jednak, ażeby dziecko pod tym wpływem stawało się smutnym i ponurym. Gracya była z natury wesołą, żywą i



Latarnia morska.

strzone końce masztów, potem wzdymające się żagle szare i białe, aż wreszcie kształty zaokrągląły się i rosły, przybierając postać wielkich statków. Stada ptaków morskich leciały naprzód, za nimi przepływały okręty i znikaly w oddaleniu, nie zostawiając śladów na morzu, tak jak ptaki nie zostawiały ich w powietrzu. Wszystkie te obrazy znikaly, przemijały, jakby w kalejdoskopie, tylko morze ciągle huczało i rozbijało się o skały, tylko obłoki ponad falami przepływa-

śmiała, przytém wiele miała zajęcia w swój samotności, a praca chroni od nudów i smutków i utrzymuje zadowolenie wewnętrzne. Od rana dziewczynka zabierała się ochoczo do roboty. Schodziła najpierw do składu z oliwą, znajdującego się w najniższej części wieży; tam kilkanaście ogromnych kadzi kamiennych, zwanych studniami olejowemi, zawierało ciecz, przeznaczoną do oświetlenia latarni morskiej. Gracya czyściła duże dzbany cynowe drobnymi rączkami, potem na-

pełniała je oliwą, którą czerpała wielką łyżką z kadzi, a wszystko to tak zręcznie i ostrożnie, że nigdy nawet plamki nie zrobiła na schludnej sukience z szafirowego płócienka lub czarnym fartuszką. Ręce miała zawsze odkryte aż do ramion, zwyczajem kobiet, trudniących się gospodarstwem, a były to rą-

część spiżarnianych zapasów strażnika więzowego, gdyż napój ten krzepi go, nie upajając, stopy sucharów i bochenków chleba, który raz tylko na miesiąc świeżo upieczony przywoził służbowy statek portowy, jeżeli morze było spokojne. Duże pasy słoniny i solonego mięsa wisiły na hakach w spiżar-



Wzór do rysunku.

czki białe i delikatne, upały morskie ich nie opaliły, a praca i świeże powietrze wyrabiały w nich zręczność i siłę.

Ponad składem z oliwą znajdowała się spiżarnia i tam Gracya resztę ranku spędzała. Tam stały beczki wody słodkiej, antały lekkiego piwa, które zawsze stanowi ważną

ni; kasza, mąka i wory suszonych warzyw poskładane były na około. Było to niezmiennie pożywienie obu strażników i młodej dziewczyny, bo świeże mięso i świeże jarzyny trudno przechowywać dłużej. Tylko za przybyciem statku, co niezbyt często się zdarzało, samotnicy morsecy mogli się spodzie-

wać uczyły ze świeżego mięsa, owoców, mleczywa i jarzyn; dla nich przysmakiem najwykwintniejszym było to, co każdy wieśniak codziennie jadać może u skromnego swojego stołu. Nasi dwaj strażnicy szczęśliwsi jednak byli od innych, w ich wieży mieszkała staranna i skrzętna gosposia, która troskliwie przyrządzała im ten jednostajny pokarm i miłym szczebiotem swoim ożywiała krótkie chwile wypoczynku. (d. c. n.)

Medalik z roku 1768.

POWIEŚĆ

przez Z. MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Ludka tymczasem, wbiegłszy do sali, ucałowała najpierw ręce ojca, a potem zaczęła wypytwać o siostrę, ciocię Roblicką i wszystkich domowników, a w końcu rzekła nieśmiało:

— Mój ojezulku, mam do ciebie ogromną prośbę.

— Cóż to za prośba, moje dziecię?

— Mam na pensyi przyjaciółkę Magdusię, wychowanicę pani Nonon, którą ona chce na wsi podczas wakacyj umieścić. Czyby Magdusia nie mogła z nami jechać?

— Czemuż nie, moja córko, jeżeli ją tylko pani Nonon nam powierzy.

— Otóż to, drogi ojezulku, jest w tém pewna trudność, bo pani Nonon chce ją umieścić jako początkującą nauczycielkę. Powiada, że jej wychowanica jest uboga i nie może przez parę miesięcy bawić się tylko.

— Zapewne, pani Nonon ma zupełną słuszność, bo nikt ciągle się bawić nie może i nie powinien; zabawa może być tylko nagrodą i wytechnieniem po pracy.

— To i ja ojezulku nie będę się bawić?

— Tego nie mówię, owszem, powiedziałem ci przed chwilą, że zabawa jest wytechnieniem po pracy. To też, moja Ludko, za parę dni skończysz lat siedmnaście. Przełożona mówiła mi, że uczyniłaś znaczne postępy w naukach, lecz nie myśl, żebyś je już zupełnie ukończyła. Masz dopiero podstawę

do nich. Przez wakacye wypoczniesz, przypatrzysz się wsi, obznajomisz przy cioci z zajęciami domowemi. W chwilach wolnych moja córeczka przeczyta mi co głośno, czasem jej co opowiem, lub wytłómaczę. Bo dotąd znałaś świat z książek pensyonarskich; teraz trzeba spojrzeć na niego tak, jak on prawdziwie wygląda, a chociaż nie powrócisz na pensyą, uczyć się jednak będziesz. I właśnie w tym względzie chcę się porozumieć z panią Nonon, która obiecała mi chwilę rozmowy.

— Ojezulku, ale nie zapomnisz zapytać się, czy Magdusia pojedzie z nami?

— Bądź o to spokojna, moja córko, nie zapomnę o niczem, co mojej kochanej Luci robi przyjemność, ale idź teraz do swoich zajęć, ja załatwię interesa na mieście, a za parę godzin powrócę i pomówię z p. Nonon — to rzekłszy, uściśnął córkę i wyszedł.

Ludka byłaby się może rozplakała, ale właśnie weszła do sali córka pani Nonon, oznajmiając, że nauczyciel muzyki czeka na nią, a widząc zaszępioną twarz dziewczynki, ujęła ją z całą serdecznością za rękę i rzekła z siostrzaną troskliwością:

— Czy ci smutno, że jeszcze parę dni z nami pozostaniesz, żeś tak zaszępiona?

— O! nie, droga pani, ale ojciec tak seryo do mnie przemawiał, zamysliłam się więc nad jego wyrazami. Mnie tutaj tak dobrze, może mi żal nawet życia pensyonarskiego.

I uściśnęły się serdecznie. Chcąc zrozumieć, że ostatnie wyrazy Ludki były zupełną prawdą, trzeba poznać przełożoną pensyi i jej córkę.

Pani Nonon, chociaż nosiła nazwisko francuzkie, była Polką. Wyszła za mąż we Francyi, po śmierci męża powróciła do kraju i już od lat 20 utrzymywała pensyą. Córka jej Antonina od lat kilku pomagała jej w pracy. Czuwając nad powierzonymi sobie uczennicami, umiały wzbudzić w nich tyle przywiązania, że dziewczynki, po kilkoletnim pobycie na pensyi, opuszczały ją z żalem, wynosząc najserdeczniejsze wspomnienia. Rzadko zdarzały się takie zepsute serca, jak Emilki i Aliny, dwóch powyżej opisanych dziewczynek, które po jednorocznym pobycie nie mogły jeszcze przyjąć zasad wszcze-

pionych przez zącną ochmistrzynią. W ogóle wśród szczerój i poczciwój pracy rozwijały się młodociane umysły i serca. Nie można więc się dziwić, że Ludka, chociaż przed nią otwierał się świat nowy, wyrazy żalu za pensyą wypowiedziała bardzo szczerze.

W parę godzin potóm, o oznaczonej godzinie, kiedy pani Nonon ułatwiła się z rozlicznymi zajęciami, przybył znowu pan Lesiński.

Ludka, upakowawszy oddawna swoje rzeczy, po odbyciu ostatniej godziny muzyki, niecierpliwie oczekiwała przybycia ojca i z wielką radością zawezwana pobiegła do salonu, gdzie go zastała rozmawiającego z ochmistrzynią. W obec ochmistrzyni zwykle pensyonarkę opanowywa jakaś nieśmiałość; to też i Ludka już nie tak szczebiotliwie obrzucała ojca pytaniami, lecz przysłuchiwała się rozmowie.

-- Według przepisów szkolnych i nauk programem objętych— rzekła p. Nonon— Ludka skończyła edukacyą. Według mnie jednakże, powiedziałabym, że ją dopiero zaczyna. Dziewczynka do lat 17 uczy się dla tego, że jój się uczyć każą, ale nie pojmuje ważności nauki. Zbiera ona materyał, z którego ma sobie stworzyć budowę i zakreślić pewną całość. To też jeżeli pan żąda mojej rady, potrzebaby mieć jakąś osobę w domu, coby umiała kierować dobroem ksiązek, czytaniem, słowem osoby, któraby nadała pewien rozumny zwrot młodocianemu umysłowi Ludki, i zachęcała ją do pracy.

— Jednego zupełnie jesteśmy zdania z szanowną panią— odparł pan Lesiński.— Wszakże kierownictwo czytaniem pozostawiam sobie. Dziewczę przez parę lat odwykło zupełnie od mego towarzystwa, chciałbym więc, aby ze mną jakąś godzinę dnia przebyła. Prócz tego trzeba, żeby cokolwiek obznajomiła się z zajęciami kobiecego. Nie mając bowiem żony, chciałbym, żeby najstarsza córka zarządzała domem moim i dla tego powierzam ją pod tym względem opiece mojej kuzynki. Jednak ani moje, ani ciotki towarzystwo nie wystarczy dziewczęciu. Potrzebaby osoby takiej, któraby zarazem stała się jój przewodniczką i towarzy-

szką, a nie chciałbym, ażeby zaniedbała obce języki i muzykę.

— Osobę taką niełatwo znaleźć— rzekła p. Nonon. Jednakże poszukamy. Wyjeżdżam zaraz po egzaminie na paromieięcną wędrówkę, może gdzie w kółku dawnych znajomych znajdę osobę, coby była dobrą przewodniczką i towarzyszką dla córki pana.

— Serdecznie jestem pani wdzięczny za radę i pomoc. Ale jeszcze jedna prośba. Ludwinia mówiła mi, że ma przyjaciółkę, wychowanicę pani. Czybyś mi jój pani nie raczyła powierzyć na wakacye? Dla młodych dziewczątek bardzo jest zbawienném przebycie kilku tygodni na wsi. Przecież moja córka nie zaraz zaprzęgnie się do pracy książkowej, ale pierwej trochę się pobawi i odetchnie, będą więc mogły razem używać wakacyj.

— Z ochotą i wdzięcznością przyjąłabym propozycyą pana, bo wyjeżdżając za granicę nie mogę brać z sobą mojej wychowanki. Ale boję się, że zanadto się rozbawi, przyzwyczai do wygod i łatwego życia, które znajdzie w każdym zamożnym domu; a Magdusia jest sierotą; kształcę ją na nauczycielkę. Za lat dwa będzie musiała pójść do obcego domu, gdzie ją czeka praca wcale nielekka. Niechęć żeby się przyzwyczajała do wygod, gdy sama jeszcze na nie zapracować nie potrafi. Chciałabym ją więc umieścić pod takimi warunkami, ażeby mogła udzielać małym dzieciom lekcyj podczas wakacyj, a tym sposobem przyzwyczaić się powoli do życia, które ją czeka i rozpocząć niejako pracę na siebie.

— Myśl pani jest prawdziwém dobrodziejstwem dla jój młodej wychowanki, a zarazem doskonale wchodzi w moje plany. Józia, moja młodsza córka, ma już rok siódmy, czas więc, żeby zaczęła się uczyć, rozwijać umysł, niechże więc wychowanica pani rozpocznie naukę z moją małą, zanim ją opiece pani powierzę. Za to przynajmniej zaręczyc mogę, że pierwsze kroki w zawodzie nauczycielskim nie będą zbyt ciężkie.

— O to zupełnie jestem spokojną, i tém swobodnie j wyjadę, zostawiając Magdusię pod tak dobrą opieką— rzekła zącną przełożoną, podając rękę na zgodę. Ludka, obecna

rozmowie, niespokojnie czekała jej końca, a słysząc przyzwolenie ochmistrzyni, z radością w oczach pobiegła ucałować jej ręce, a p. Nonon, oddawszy jej uścisk, rzekła:

— Poczciwe masz serce, droga Ludko, bądź zawsze równie dobrą i uczynną dla drugich, a zjednasz sobie dużo ludzkiej przyjaźni i szczęścia na świecie. Pan pozwoli—rzekła, zwracając się do pana Lesińskiego, —że mu przedstawię moją wychowanę.

To mówiąc pani Nonon wyszła, a Ludka tymczasem opowiadała ojcu o wielkich zaletach swojej przyjaciółki.

— Zobaczy ojczulek, jaka to dobra i miłuchna ta moja Magdusia. Ona jest sierotą, niema ani ojca ani matki i nic a nic ich nie pamięta, nazywa się Przydroża. Tutaj są takie panienki, co ogromnie jej dokuczają i śmieją się z niej. Powiadają, że to musi być córka jakiegós zbraczkii. Ale przecież, ojczulku, Pan Bóg nas wszystkich jednakowo stworzył, a ja Magdusię wolę, niż wszystkie hrabianki.

— Moja córko—rzekł pan Lesiński—cieszę się bardzo, że tak dobrze rozumiesz, iż Bóg nie czyni między swemi dziećmi różnicy; ale zkądże twoim koleżankom przychodzi do głowy, ażeby się z biednego dziewczęcia wyśmiewać, wszakżeż pani Nonon pewnie na to nie pozwala?

— O! pani Nonon wcale o tén nie wie, a gdy usłyszy, bardzo się gniewa, ale Magdusia się nigdy nie skarży; a są tutaj dwie nieznośne koleżanki, co nie a nic się nie uczą...

— Ależ, moja Ludko, ja wcale nie ciekawy jestem pensyonarskich tajemnic i zapewne pamiętasz przysłowie: żeby cię smażono, pieczono...

— O! wiem, wiem, drogi ojczulku—rzekła Ludka, całując go w rękę—ale bo...

Wtém weszła pani Nonon, a za nią nieśmiało Magdusia.

— Oto jest moja wychowanica, polecam ją panu, jako tymczasową nauczycielkę dla jego córeczki.

— Dziękuję pani za zaufanie, a ciebie, moja panienko, będę uważał jak prawdziwą przyjaciółkę Ludki, a więc jakoby moją cór-

kę; podaj mi rączkę i wybacz, że odrazu będę cię nazywał Magdusią.

Magdusia podała rękę i wyrzekła nieśmiało:

— Ja tak kocham Ludkę, ona jest dla mnie tak dobrą; miło mi więc bardzo, że jej ojciec odrazu tak serdecznie mnie przyjmuje.

Ludka zaś ze swoją zwykłą żywością uściśnęła Magdusię, wołając:—A widzisz, mówiałam, że wszystko dobrze pójdzie, cóż to za rozkoszne będą wakacye! Żebyś ty wiedziała, jaki u nas jest ładny ogród, a rzeka, a las!

— Ależ dobrze, moje panienki—rzecze, pani Nonon—wierzę, że to wszystko musi być bardzo piękne, tylko pamiętajcie, że jutro egzamin, a może jeszcze znajdzie się co do przypomnienia.

— I ja także mam jeszcze interesa do załatwienia, jutrzejszy bowiem dzień chcę cały poświęcić mojej córce, a pojutrze raniutko wyjeżdżamy do Lesina.—To mówiąc, pan Lesiński podał rękę pani Nonon, uściśkał serdecznie córkę, życzliwie pożegnał Magdusię, a dziewczynki z całą żywością, właściwą ich wiekowi, pobiegły żywo do klasy, układając tysiące projektów na przyszłość.

(d. c. n.)

PRZYGODY NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

Podróżnicy nasi mijali liczne osady murzyńskie, rozsypane na wybrzeżach rzeki Komo, a po trzech dniach żeglugi zarzucili kotwicę w małej zatoce, przy wiosce większej od innych i porządniej zabudowanej, zwanój Kobogoj. Nigdzie jeszcze nie napotkali tak schludnych i ładnych chat, takich ogrodów i gajów. Banany i palmy kokosowe porastały wybrzeże, wielkie ich liście pochylały się ponad wodą, splatając się z gałęziami manglij.

— Tu już rozstać się musimy—rzekł Laenek, gdy na ląd wysiedli.—Za tą wioską zaczyna się ziemia francuzka, a ja stąpić na nią nie mam prawa.—Wymawiając te słowa, dawny marynarz nie mógł ukryć gwałtownego wzruszenia, nie mógł też oczu odebrać od tych dwóch młodzieńców, których z takim poświęceniem i taką odwagą nieustraszoną uratował od niechybnej zguby i przeprowadził szczęśliwie przez tysiączne niebezpieczeństwa. I oni niemniej byli wzruszeni, ale nie próbowali zmienić jego postanowienia, czuli, że było nieodwołalne.

— Jutro, moi panowie, będziecie w Libreville—mówił Laenek—a ja powracam na puszcę. Tak to w tém życiu człowiek nie może uniknąć chwil ciężkich i bolesnych...—tu głos jego się zmienił i ciszej mówił dalej.—Oto jest gałąź palmowa, o której wam wspominałem; złóżcie ją na grobie biednej mojej matki i odmówcie modlitwę za jój duszę; ona tyle wycierpiała, tyle płakała nad zbłąkanym swoim dziecięciem... a teraz... pozwólcie mi uściskać was po bratersku, jeśli sądzicie, że zasłużyłem na to.

Dwaj młodzieńcy rzucili się w jego objęcia, ale tak byli wzruszeni, że nie mogli ani słowa wymówić. Po chwili Laenek wyrwał się z ich uścisków, a zarzucając karabin na ramię, gwizdnął na psa i szybko się oddalił, lecz o parę kroków przystanął i odwracając się do nich, zawołał:

— Bywajcie zdrowi; a gdybyście kiedy byli w mieście San Paolo di Loanda, przyslijcie po mnie umyślnego do Mata Zamba, a daję słowo honoru, że przyjdę umyślnie, żeby się z wami zobaczyć. Bywajcie zdrowi—skinął dłonią i puścił się w stronę lasu; za nim podążali Mkunia i Mbuna, a dalej Nijadi z gromadką swoich wojowników. Wszyscy ci poczciwi murzyni żegnali się także czule z dwoma młodzieńcami, obsypując ich życzeniami szczęśliwej podróży, a każdy odchodząc, ofiarował im jakiś drobny czarodziejski przedmiot, który ich miał strzedz od przygód i niebezpieczeństw, od choroby, ukąszenia węża, lub napaści zwierząt dzikich. Guillois i Barthet przyjmowali to wszystko i dziękowali serdecznie, nie chąc martwić tych biedaków i długo ścigali ich

oczywiście, że wreszcie cała gromada znikła w oddaleniu, zapuściwszy się w gęstwinę leśną.

— Co za smutne rozstanie—mówił Barthet z westchnieniem.

— Lepiej, że się już raz skończyło to bolesne pożegnanie, kiedy nie mogło być inaczej—dodał Guillois.

Powracając do swojej łodzi, dwaj przyjaciele ze zdziwieniem spostrzegli, że Yombi siedział spokojnie na brzegu, oczekując na nich.

— Czemużes ty nie poszedł za tamtymi?—zapytali.

— Niewolnik nie może opuścić swojego pana—odrzekł murzyn—Mkunia odszedł, a Yombi pozostał.

XII.

Osada francuzka. Zdziwienie gubernatora. Wyjazd do Francji.

Dwaj młodzieńcy puścili się w dalszą drogę, a chociaż zbliżali się do ziemi francuzkiej, chociaż spełniły się najgorętsze ich życzenia, nie mogli jednak pozbyć się uczucia smutku. Mijali znowu różne wioski nadbrzeżne, aż w końcu wpłynęli na wody rzeki Gabunu, a w kilka godzin później ujrzeli przed sobą posterunek Libreville. Serce ich uderzyło gwałtownie na widok chorągwi francuzkich; jedna zatknięta była nad mieszkaniem gubernatora, druga na okręcie, stojącym na kotwicy w zatoce.

Była jedenasta godzina przed południem, gdy zbliżyli się do portu, słońce sypało na ziemię snopy rozpalonych promieni, ani na wybrzeżu, ani na pokładzie okrętu nie widać było żywego ducha. Gubernator, urzędnicy i marynarze, wypoczywali po śniadaniu, unikając straszego upału. Barthet i Guillois wysiedli niezwłocznie na ląd i udali się wprost do mieszkania gubernatora Gabunu.

Gdy mu oznajmiono dwóch białych ludzi, przybyłych z głębi lądu, zacny ten urzędnik natychmiast wyszedł na ich spotkanie, dopytując się, jakiej byli narodowości i czego potrzebowali. Był to dzielny marynarz, dawny kapitan okrętu, uczynny, uprzejmy i powszechnie lubiony przez wszystkich swoich

podwładnych. Jak tylko Barthet i Guillois wymówili swoje nazwiska, gubernator wykrzyknął z podziwieniem:

— Jaktło więc to wy jesteście panowie Barthet i Guillois, których przybycie oznajmiono mi z Francji pięć miesięcy temu? Dwaj wyżsi urzędnicy mieli jednocześnie z wami przyjechać, ale później doniesiono mi znów o waszej śmierci i nadesłano innych na wasze miejsca.

Młodzieniec wyjaśnił mu wszystko co się stało, opowiedzieli dziwne swoje przygody, wspomnieli także i o poświęceniu biednego wygnańca, który ich uratował i przeprowadził przez puszcę wśród tysiącznych niebezpieczeństw.

(d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Błędy języka. Wszyscy czytelnicy nasi uczą się zapewne obcych języków i starają się o to, ażeby mówić poprawnie po francuzku lub po niemiecku. Ale nie wszyscy pamiętają o tém, że o czystość własnej mowy jeszcze daleko więcej dbać potrzeba. Język polski jest trudny, nawet dla Polaków, gramatyka jego dotychczas niestabilna, bo nie wszyscy gramatycy zgadzają się na te same prawa, a w mowie potocznej rozpowszechnione są liczne błędy, na które wiele osób uwagi nie zwraca wcale, umiając nawet niezłe gramatykę. Chcemy więc kiedyniekiedy wskazywać wam błędy podobne, ażebyście się ich wystrzegali.

Oto na przykład często bardzo się zdarza słyseć, a nawet czytać wyrażenie: w twojem ręku, w mojem ręku; a jednak nikt nigdy nie mówi mój albo twój rąk, tylko moja ręka, w rodzaju żeńskim. Należy więc mówić w mojej, w twojej ręce, jeżeli idzie o jedną rękę. W tém ręku, w mojem ręku, jest stanowczo błędem gramatycznym, ale wyrażenie to rozpowszechniło się dla tego, że można powiedzieć rzeczywiście: trzymam *w ręku*. Tylko nie każdy rozumie, że tak się mówi nie o jednej ręce, ale o dwóch. W da-

wniejszej polszczyźnie rozróżniano bowiem od liczby mnogiej liczbę podwójną, mało już dziś używaną. I tak: mówi się w jednej ręce, w dwóch rękach i w wielu rękach. Trzymać coś w ręku, to znaczy w obu, a nie w jednej.

Błędnie także mówimy często *oczów*, gdyż właściwie powinno się mówić *oczu*, w liczbie podwójnej, a *ócz* w liczbie mnogiej. I tak: mówi się łzy płynęły mu z oczu, to jest z dwóch, albo łzy płynęły ze wszystkich ócz, bo tu mowa o wielu oczach.

Łamigłównka liczbowa. (M.)

Z 14 liter nazwa miasta europejskiego. Przetawiając litery otrzymamy:

- 1, 2, 5, 9. Zwierzęta domowe.
- 1, 6, 7, 8, 2, 10. Nazwa prowincyj w pewnym kraju.
- 1, 2, 4, 6. Narzędzie rolnicze.
- 1, 6, 3, 5, 9. Imię męskie.
- 2, 1, 3, 4. Przedmiot znajdujący się [w każdym pokoju.
- 3, 2, 4. Część twarzy.
- 4, 2, 14, 11, 7. Mędrzec grecki.
- 4, 8, 2, 12, 6. Miara długości.
- 12, 2, 14, 1, 6. Taniec.
- 3, 2, 12, 11, 14, 6. Drzewo.

Łamigłównka kryształowa. (M. P.)

- 1) Litera.
- 2) Owad.
- 3) Woda płynąca.
- 4) Miasto we Włoszech.
- 5)
- 6) Historyk z czasów Zygmunta [towskich.
- 7) Rzeka w Polsce.
- 8) Część twarzy.
- 9) Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko znakomitego polskiego hetmana.

Rozwiązania do Nru 40.

Łamigłównki liczbowej:

Kraszewski.

Skrwa

Ewa

Wir

Rak

Wiek

As

Kra

Kark

Sas

Szew

Łamigłównka zegarek.

Siemionowicz.

Atlas

Argali

Auvergne

Album

Aszanti

Ajaccio

Allan

Arno

Augustów

Antoni

Austerlic

Arbuz

— SPROSTOWANIE.— Szanowny Redaktor Echo Muzycznego, nadesłał nam sprostowanie, dotyczące się życiorysu Chopina, podanego w Nrze 40 naszego Pisma. Ks. Radziwiłł, który zwrócił uwagę na niepospolity talent młodego Fryderyka, nigdy jednak na wychowanie jego niełożył. Szczegół ten, zamieszczony kilkakrotnie w różnych życiorysach Chopina i powtórzony przez nas, niniejszemu prostujemy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Karnsi Gr. w Józków-Rogn. Historją wysłałiśmy po wtórnie wraz z żądanym N-em Pisma. Takiej strasznej zawziętości nie możemy w żadnym razie pochwalić, tém bardziej, że o ile sobie przypominamy, nie było do tego żadnych powodów, gdyż obietnica była warunkowa... Ale teraz, kiedy już nastąpiła zgoda i zobowiązane porozumienie, prosimy tylko o cierpliwość, a wszystko się naprawi i wyjaśni.

Władysław N. Żądane N-ra Pisma odesłałiśmy bezpłatnie. Chociaż miłe liściki i dowcipne łamigłównki, bardzo są dla nas pożądane, wiemy dobrze, iż nauka jest rzeczą najważniejszą i umiemy czekać cierpliwie. Wszystkie zagadki wydrukujemy chętnie, oprócz pierwszej, która nie może być w Piśmie naszym pomieszczona z powodów niezależnych od redakcyi.

Mani P. w Włoczewie. Historją wysłałiśmy pod adresem Pana Kuklińskiego w Płocku i tam się o nią upomnieć należy. Gdyby zaginęła na poczcie, co na nieszczęście dość często się zdarza, wyślemy drugi egzemplarz. Niecierpliwość tego rodzaju nie jest wcale naganną, i przyjemność nam tylko sprawić może. Prosimy o wiadomość, czy Historją ziści choć w części oczekiwania.

Felusiovi P. w Włoczewie. Bardzo to dobrze, że mama nie chce pomagać dzieciom w pisaniu listów do redakcyi, dziękujemy jej za to serdecznie, bo tym sposobem lepiej się możemy zapoznać z młodymi czytelnikami i dokładniej się dowiedzieć o upodobaniach ich i potrzebach, które zaspokoić pragniemy o ile możności. Wzory do rysunku podawać będziemy i nadal, cieszymy się, że się tak podobają. Mamy nadzieję, że ten pierwszy liścik nie będzie ostatnim.

Manuli B. w St. Konst. My nie tak łatwo zapominamy o kochanych naszych korespondentach, chociaż oni często o kilku serdecznych liścikach zasmucają nas upartym milczeniem. Spodziewamy się, że tą razą obietnice nie spełzną na niczem, a tém bardziej tego pragniemy, że trzy miłe dziewczynki, które tak pilnie nasze *Wieczory* czytają, bliżej i lepiej nam są znane, aniżeli się spodziewają. Na dowód powiemy Manuli, że popędliwość, jeżeli nie jest przewyciężona zawczasu, może się stać później uciążliwym jarzmem, trudnym do pokonania i zniszczyć najlepsze przymioty. Ludce przypomnimy te piękne słowa Apostoła: *Póki byłem dzieckiem, myślałem i czyniłem jak dziecię, ale później wytepiłem to, co było we mnie dziecinne.* Anisję radzibyśmy przekonać, że kto nie nawyknie za młodu rozwijać umysł zastanowieniem i uwagą, temu na nic się nie przydadzą największe zdolności. Tak, jak gimnastyka dla ciała, tak dla umysłu potrzebna jest ciągła praca nad sobą. Nikt z nas nie jest doskonałym, każdy ma wady i słabości, które to zawsze mają do siebie, że wzrastają i górę biorą nad nami, jeśli z nimi nie walczymy. Oby te rady, z serca płynące, trafiły do serca kochanych naszych czytelniczek.

WYDAWNICTWO ZABAWEK I GIER PEDAGOGICZNYCH

w Warszawie

dla prenumeratorów „Wieczorów Rodzinnych” ustępuje 20% rabatu.

Podajemy tu ceny niższe:

Podróż Verne'a na około świata w 80 dniach. Gra towarzyska w ozdobnym pudełku z tytułem chromolitografowanym	rs. 1 k. 30.
Modele geometryczne brył kryształów w pudełku	„ 1 „ 10.
Malarstwo za pomocą natryskiwania, zabawa dla młodzieży. Pudełko z zielnikiem i przyborami do malowania	„ 1 „ 90.
Portrety cieniowe królów polskich, zabawa towarzyska z tekstem rytmicznym Wł. L. Anczyca (portrety według wizerunków Lessera) w ozdobnym pudełku z chromolitografowanym tytułem	„ 1 „ 90.
Książeczka rysunkowa dla małych dzieci z czarnymi tabliczkami do rysunku. Karton	„ — „ 50.
Układanie kwadratami, zabawa dla młodzieży w pudełku z kolorowanym tytułem	„ — „ 80.
Mały artysta, zabawka rysunkowa poświęcona dzieciom w ozdobnym pudełku z przyborami do rysowania i farbami	„ 1 „ 45
Wydanie w ozdobnym pudełku bez przyborów do rysunku	„ 1 „ —.
Loteryjka z historii naturalnej, pouczająca zabawa dla dzieci i młodzieży, z objaśnieniem jej użycia, składająca się z 6-ciu chromolitografowanych tablic, zawierających 90 rycin ze świata zwierzęcego i roślinnego, wydanie 2-gie w ozdobnym pudełku	„ — „ 80.
Łamigłówka geometryczna, zabawa zajmująca dla dzieci i młodzieży z objaśnieniem i kluczem, składająca się z 12 tablic łamigłówki i tyluż tablic klucza	„ — „ 40.
Loteryjka geograficzna, gra towarzyska, wydanie mniejsze, na 2 do 6 osób, złożone z 6-ciu mapek, mieszczących całą kulę ziemską, a na niej 120 nazwisk różnych miejscowości	„ 1 „ 60.
Wydanie większe, na 2 do 10 osób, zawierające 10 mapek ze 180 nazwiskami geograficznymi	„ 2 „ —.
Gra w szachy, z płaskimi chromolitografowanymi figurami i objaśnieniem	„ — „ 50.
ŁamigłóWKi geograficzne, według metody Fr. Frebla:	
1. a) <i>ŁamigłóWka planigłóWu</i> format mały, nowe wydanie w ozdobnym pudełku	„ — „ 80.
1. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
2. a) „ <i>Europy</i> „ mały, nowe wydanie w ozdob. pudełku	„ — „ 80.
2. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
3. c) <i>Wielka łamigłóWka Europy</i> w ozdob. pudełku	„ 2 „ 40.
3. a) <i>ŁamigłóWka A z y i</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
3. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
4. a) „ <i>Afryki</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
4. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
5. a) „ <i>Ameryki</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
5. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
6. a) „ <i>Australii</i> „ mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
6. b) „ „ „ „ duży	„ 1 „ 20.
7. a) „ <i>Cesarstwa Rosyjskiego</i> format mały	„ — „ 80.
7. b) „ „ „ „ format duży.	„ 1 „ 20.
7. c) „ <i>Austrii</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.
8. a) „ <i>Królestwa Polskiego</i> format duży rozcięty podług gubernij	„ 1 „ 20.
8. b) „ „ „ „ podług powiatów	„ 1 „ 60.
8. c) „ <i>Niemiec</i> format mały, nowe wydanie	„ — „ 80.

Za przesyłkę i opakowanie każdego przedmiotu wartującego 1 rs. i wyżej dopłaca się kop. 50, każdego przedmiotu wartującego mniej od 1 rs., kop. 30. Za kilka przedmiotów razem rs. 1.